



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
 DLA DZIECI.



PRZECHADZKI

Z CIOCIĄ.

II.

Kwiatów już pełno po lasach i łąkach, zielono wszędzie, słoneczko przygrzewa; nasze dziewczątka wybrały się znowu na przechadzkę z ciocią, a teraz już nie chciały poprzestać na mechach i porostach, ale nosły całe snopy różnobarwnych kwiatów, z których najpiękniejsze miały być wybrane do zielników. Ciocia radziła, ażeby przed zasuszeniem każde ziółko obejrzyć sta-

rannie, rozpoznać, do jakiej rodziny należy i nazwę jego właściwą oznaczyć. Dziewczynki znały dobrze kwiaty ogrodowe, ale nie miały wprawy w rozpoznawaniu dzikich roślin i w tém właśnie ciocia obiecała im dopomóc.

— Patrzcie—mówiła do nich—znacie dobrze stokrotki, te miłe kwiateczki, kwitnące na łąkach naszych od wiosny do późnej jesieni. Macie tu także i brodawnik mleczoowy; jest to zielsko najpospolitsze, kwitnie obficie od wiosny aż do jesieni, znają je wszystkie dzieci pod nazwą dmuchawca. Liście ma jakby poszarpane w nierówne zęby, kwiaty żółte, osadzone na wysokości szypulce, wewnątrz próżnej, naksztalt rurki, a po okwitnieniu tworzy się z tego wielka kula puszysta. Któreż dziecko jęj nie zna, któreż w nią nie dmuchało zawzięcie, najczęściej jednak nie zważało wcale, z czego się ta lekka kula właściwie składa. Każdy z tych włosków puszystych ma przy nasadzie nasionko, a jest ich wielkie mnóstwo, i wszystkie rozlatują się w różne strony, jakby na skrzydełkach.

— Ale dla czego ciocia wspomniała wprzód o stokrotkach, a potem zaraz o dmuchawcu, kiedy te kwiatki wcale nie są do siebie podobne?—zapytała Karolcia.

— I owszem, przekonacie się, gdy je do-

kładniej obejrzymy, że mają do siebie wiele podobieństwa; nie darmo też do tój samej rodziny roślinnej są zaliczone, a rodzina to bardzo liczna i tak odrębna, że każdy z łatwością rozpoznać potrafi jój cechy, to jest postać, która wyróżnia kwiaty do niej zaliczane, od wszystkich innych.

— Ja już wiem, co to jest rodzina—mówiła Teofilka—czytałam o tém kiedyś, ale teraz lepiej jeszcze pewnie zrozumieję, jak cioteczka po swojemu opowie.

— Najpierw obejrzymy jakikolwiek kwiat, choćby ten żółty jaskier, nadając każdej części właściwą nazwę. Łodyżka, podtrzymująca kwiat, nazywa się szypułką; przy samej nasadzie kwiatu widzimy zielony kielich, potem koronę, z kolorowych płatków złożoną. Kielich i korona stanowią okrycie kwiatu.

— Okrycie?—powtórzyła Karolcia— a cóż one okrywają?

— Najważniejsze części, a raczej sam kwiat właściwy, bo dla botaników najpiękniejsze kolorowe płatki nie są jeszcze kwiatem.

— Już wiem, już wiem—zawołała Jadwinia—ciocia nieraz dawniej opowiadała o tém, tylko mi to jakoś wyszło z pamięci. Patrzcie, patrzcie, oto te niteczki z kutasikami, to jest najważniejsza część kwiatu, bo z tego nasionka się robią.

— Nie, nie, Jadwiniu—odezwała się Karolcia— to nie z tych niteczek, ani kutasików, tylko z tych malutkich gałeczek, co tu pomiędzy niemi są schowane, nasionka się wyrabiają.

— A ja ci mówię, że i jedno i drugie bardzo jest dla nasionek potrzebne—odrzekła Jadwinia—nieprawdaż, ciociu?

— Bardzo dobrze mówisz, moje dziecko, ale naucz się każdej rzeczy właściwą nazwę nadawać. Te niteczki z kutasikami, jak ty powiadasz, to są pręciki z pylnikami, a gałeczki, wśród nich ukryte, noszą nazwę słupków. Każdy słupek ma przy nasadzie część troszkę nabrzmiałą, to zawiązek, bardzo stosownie nazwany, bo w nim zawiązuje się nasionko.

— Teraz ja to wszystko powtórzę—rzekła Teofilka—kielich, korona, pręciki, słupki; o, doskonale pamiętam i w każdym kwiatku rozpoznam te części.

— Dobrze; spróbuj więc teraz powtórzyć toż samo na tym kwiecie stokrotki—powiedziała ciocia—pokaż mi płatki, pręciki i słupki.

Dziewczynka wzięła kwiatek do ręki, przypatrywała mu się uważnie, potem spojrzała na ciocię, jakby pomocy jój wzywała, ale ciocia nic nie mówiła. Karolcia chciała ją wyręczyć, zaczęła oglądać drugi kwiatek podobny, Jadwinia zabrała się do trzeciego, jakoś im jednak nie szło.

— Ja nie wiem, ciociu, co tu z tą stokrotką zrobić—rzekła nakoniec Karolcia—takie to jakieś drobniutki, a takie mnóstwo nastrzępionych różnych kawaleczków, że nie mogę żadnym sposobem rozpoznać tego wszystkiego.

— Ani ja, ani ja także—powtórzyły obie jój siostrzyczki.

— A widzicie, że nie z każdym kwiatkiem taka łatwa sprawa, jak z jaskrem. Żebyśmy sobie dały rady z tym drobiazgiem, weźmy szkiełko powiększające, zabrałam je z sobą umyślnie.

I ciocia wyjęła z kieszeni okrągłe szkiełko, w drzewo oprawne, zwane lupą. Dziewczynki brały je kolejno, rozrywały kwiateczki stokrotki na drobne cząstki, oglądały je z wielką uwagą przez szkło powiększające, nie mogły jednakże zrozumieć, dla czego to wszystko tak dziwnie jakoś i niezwykle wyglądało. Nakoniec rzekła Jadwinia:

— Te żółte strzępeczki, skupione ciasno po samym środku kwiatka, podobne są do jakichś długich rurczek, wyciętych u brzegu w pięć ząbków. ze środka każdej rurczki wychodzą jakieś zabawne widelki wygięte, jak rożki u ślimaka.

— A teraz obejrzyj cząstki bladuróżowe, tworzące rodzaj wianeczka dokoła żółtego środka stokrotki—rzekła ciocia.

— Moja ciociu, i to także niepodobne wcale do zwyczajnych płatków; znowu jakieś rurczki, a z każdej wychodzi po jednej stronie długa, spłaszczona wstążeczka, niby skrzydelko. Ja już nie wiem doprawdy, co to może być takiego.

— Nie możesz tego zrozumieć, bo tobie się zdaje, że ta stokrotka jest jednym tylko kwiatkiem; a tymczasem każda z tych dro-

bnych rurczek ma swoje osobne pręciki, swój słupek, każda osobną całość stanowi, bo stokrotka jest to zbiór licznych kwiateczków, i nazywa się kwiatogłówką w języku botanicznym. Wszystkie kwiateczki osadzone są razem, jakby w koszyczku, w dużym kielichu wspólnym, z licznych zielonych listeczków złożonym, który nazywają pokrywą, dla odróżnienia od zwyczajnych kielichów kwiatowych.

— Ciocia mówi, że tu są w każdym kwiateczku osobne pręciki i słupki—rzekła Teofilka— a ja nie mogę ich znaleźć, nawet przez lupę.

— Musimy je wyszukać—powiedziała ciocia—wyberzmy większy kwiat dmuchawca, oddzielmy jedną rurkę, teraz ją ostrożnie rozedrżemy na dwoje... patrzcie, oto wyraźnie pięć niteczek, pięć pręcików, odstających od siebie; u góry pylniki zrosnięte są z sobą i zrobiła się z tego jakby rurczka malutka.

— Ale cóż to za różki z téj rurczki wyglądają?

— To słupek taki rozdwojony; gdy pyłek z pylników się wysypie i padnie na ten słupek, zaraz tam w głębi, na samym dnie kwiatu, zawiązuje się nasionko, wzrasta, dojrzewa, a zarazem i puszysty czubek na każdym ziarnku się ukazuje.

— A jak wszystkie nasionka dojrzeją, a żółte płateczki opadną, zostanie tylko ta duża biała kula, prawda, ciociu?

— I rozsypią się nasionka, a wietrzyk rozniesie je na wszystkie strony, na puchowych skrzydełkach. Spodziewam się, że już teraz potraficie rozpoznać i inne rośliny do téj rodziny należące, a znajdziecie ich mnóstwo wszędzie. Wszystkie noszą ogólną nazwę roślin złożonych.

— Dla tego zapewne je tak nazwano—powiedziała Jadwina— że te kwiatogłówki, jak ciocia powiada, złożone są z mnóstwa drobnych kwiateczków. O, ja już teraz odrazu poznam te zabawne rurczki z wystającymi różkami.

— Często też bardzo napotkacie u roślin złożonych takie nasionka puszyste, jak u dmuchawca, chociaż nie w taką okazałą kulę zebrane. Do téj rodziny należą osty, ło-

piany o wielkich liściach, cykorya błękitna, śliczne bławatki, a z roślin ogrodowych, astry, nieśmiertelniki, popielniki, zinnie, georginie, słoneczniki. Pomiędzy złożonymi roślinami odróżnić można trzy odmienne rodzaje. I tak: jedne mają w kwiatogłówkach same tylko rurczki, jak na przykład osty, łopiany i bławatki. W innych, jakoto w cykoryi i w żółtym dmuchawcu, rurki opatrzone są długimi wstążeczkami, nakształt jęczyczków w jedną stronę zwieszonych. Inne nakoniec, jak stokrotka, mają po środku kwiatogłówki same rurczki, a naokoło rozchodzą się, jakby w promienie, kwiatki z długimi jęczyczkami.

— Już my teraz, ciociu, i te trzy odmienne rodzaje potrafimy rozpoznać—mówiła Karolcia—ja muszę wszystkie kwiaty złożone osobno umieścić w zielniku, tylko ciocia kochana podpisuje mi nazwy.

— Bardzo dobrze; ale uprzedzam was, że teraz z kwiatkami przy zasuszaniu będziecie miały więcej trochę kłopotu, niż wprzód z porostami i mchami. Jeśli chcecie, ażeby o ile możności zachowały barwy naturalne, zrywajcie je w dzień pogodny, w godzinach południowych, kiedy rosy niema, a powietrze jest suche i ciepłe. Przygotujcie zapas bibuły, bo zasuszanie kwiatów w książkach, jak to zazwyczaj dzieci robią, na nic się nie zdało. Trzeba arkusz bibuły złożyć w kilkoro, umieścić na nim roślinę, i drugim podobnym przykryć. Czasem trudno jest bardzo ułożyć ziółko równo i porządnie tak, ażeby nie było żadnych zagięć i fałdów. Najlepiej w takim razie wziąć kilka drobnych pieniążków, poprzełożyć nimi ostrożnie nieposłuszne płatki i listki, przycisnąć czém lekko na parę minut, potem odjąć wszystko zreżcznie i bibułą przykryć. Rośliny do zasuszenia zwykle układają się jedne na drugich, przekładając bibułą obficie. Cała rzecz, żeby bibuły nie żałować. Wreszcie tak ułożony stos przyciska się jakimkolwiek ciężarem, dużemi książkami na przykład. Trzeba też koniecznie zmieniać bibułę, z początku codziennie, a nawet i parę razy na dzień. Gdy już rośliny dobrze są zasuszone, można je na zwyczajnym papierze układać, przytwierdzając każdą szpileczką, lub gumą. Można

też w papierze zrobić dwa małe równoległe nacięcia i przeciągnąć przez nie lodygę ostrożnie.

— O, ciciu — powiedziała Teofilka — jaka to będzie przyjemność, uzbierać sobie taki zielnik i potem w zimie, kiedy już nigdzie kwiateczków nie będzie, oglądać je zasuszone i przypominać sobie te nasze miłe przechadzki.

M. J. Z.

Dąb i Dynia.

BAJKA Ignacego Krasieckiego.

Kiedy czas przywoity do dojrzewania nastął,
Pytała dynia dębu: jak też długo wzrastał?
Sto lat. Jam w sto dni zesła taką, jak mnie widzisz,

Rzekła dynia. Dąb na to: próżno ze mnie szydzisz,

Pięknaś prawda na pozór, na pozór też słyniesz,
Jakoś prędko urosła, tak też prędko zginiesz.

Ta bajka pięknie ma i głębokie znaczenie, które wyjaśnia wybornie podany tu rysunek Gersona. Ziemianin, zamieszkały na ojczystej glebie, ulepsza rolę, chroni lasy od zniszczenia, bo chce ażeby praca jego nie tylko jemu korzyść przyniosła, ale i dzieciom i wnukom i całemu krajowi. Cudzoziemiec najczęściej inaczej postępuje. Idzie mu o to, ażeby się jaknajprędzej wzbogacić, więc nie dba o nic, wycina lasy, niszczy wszystko, byle jak najwięcej mieć zysku dla siebie; najczęściej też szybko zbierze majątek, wynosi się i zostawia po sobie smutny obraz spustoszenia. Poznacie zapewne odrazu, spojrzawszy na rysunek, która z tych dwóch postaci ma przedstawiać ziemianina Polaka, to jest dąb, a która kolonistę cudzoziemca, to jest dynię.

WOREK JUDASZOWY.

— Stefciu, jakiego to wujaszek chciał worka od tatki?

— Przecieżeś słyszała, że worka Judaszowego.

— Tak, ale jaki to ten worek Judaszowy? bo przecież Judasz, to był taki zły uczeń, co Pana Jezusa zdradził.

— To i cóż z tego; taka zawsze jesteś ciekawa, moja Andziu! worek to i worek; zapewne do zboża; czy ja tam wiem. Wujaszek zawsze lubi żartować, to tam jakoś worek nazwał, a ty zaraz chcesz, żebym ci tłómaczył.

— Ale bo to tak zabawnie: *worek Judaszowy*, ja jeszcze o takim worku nigdy nie słyszała.

— Ba! wielka awantura, żeś ty nie słyszała! to mi dopiero osoba, co miała już słyszeć o wszystkim!

— O, przecieżeś i ty jeszcze nie duży, choć się ze mnie śmiejesz.

— Ja też nie mam pretensyi, żebym był duży, ale nie jestem taki ciekawy jak ty... Aha, już wiem, Andziu, co to za worek! to taki, w który wrzucają ciekawe dziewczynki.

— Oho, albo niegrzecznych chłopczyków. Prawda, matuniu?

— Nie, nie, mateczko, niech mamunia jój nie przyswiadcza, tylko mnie. Niech mamunia powie, że prawda; prawda?

— Jakżeż wam powiem, czy prawda, kiedy niewiem o co chodzi, moje dzieci — rzekła matka, która właśnie w tej chwili przyszła zobaczyć, co dzieci porabiają.

— Moja mateczko, niech mama powie Andzi, że to jest taki worek, w który wsadzają ciekawe dziewczynki — mówił Stefcio ciszej cokolwiek.

— Nie, nie, mateczko — wołała skacząc Andzia — niech mu matunia powie, że to takich dużych chłopców, jak Stefcio.

— Tak, tak, moje dzieci ja was oboje zabiorę, nie do worka, ale ot tak: jedno za jedną rękę...

— A drugie, matuniu, pod rękę; bo ja już jestem taki duży! prawie jak mama—i to mówiąc, Stefcio wziął matkę pod rękę—a tę malutką—rzekł wskazując na siostrę—niech matunia włoży do kieszeni, to będzie worek Judaszowy.

— A tobie co do głowy przychodzi, nazywać moją kieszeń workiem Judaszowym—rzekła matka—idąc dalej z dziećmi do ogrodu.

— Ale bo, matuniu, Andzia ciągle mię nudzi, co to znaczy worek Judaszowy.

— A zkądże on wam przyszedł na myśl?

— Bo to, matuniu, jak wujaszek odjeżdżał, to już z bryczki rzekł do tatki: a niezapomnij mi przywieźć worka Judaszowego, bo mi potrzebny. Tatko zaraz poszedł do gospodarstwa, nie mogłam go zapytać o ten worek Judaszowy, pytam się Stefcia, a on się ze mnie śmieje. Czy to, matuniu, taka torba podróżna?

— Oj dzieciaki! dzieciaki! uchwycicie jakieś słówko i sprzeczcacie się, nie wiedząc właściwego znaczenia.

— Ja też zaraz mówiłem Andzi, że wujaszek, ot tak sobie nazwał worek, bo wujaszek lubi żartować, a ona nie chce mi wierzyć i koniecznie się uczepiła, żeby jej powiedzieć, co to znaczy: worek Judaszowy.

— I miała słuszość, że ci nie chciała wierzyć, bo wujaszek nie ot tak sobie nazwał, ale prosił tatki, aby mu przywiózł książkę pod tym tytułem.

— Książkę? moja matuniu, a któż to taki dziwny tytuł mógł nadać książce?

— Nie taki to bardzo dziwny tytuł, jak ci się zdaje, mój synu, bo zupełnie odpowiada temu, co w tej książce napisano; a prócz tego i człowiek był dosyć dziwny, co tę książkę napisał.

— A któż ją napisał, czy to ten pan w okularach, cośmy go widzieli u wujaszka? bo wujaszek mówił, że on książki pisze i obiecał nam, że o nas także napisze.

— Na ten raz, moja córeczko, to nie ten pan, co o was ma napisać; bądź zupełnie spokojna, o tobie wcale niema w worku Judaszowym.

— Jakże się nazywa ten pan, co napisał

worek Judaszowy, bo mię ten tytuł bardzo bawi.

— Ten pan, mój chłopcze, nazywa się Sebastyan Klonowicz.

— Czy mama go zna, bo mówiła, że on taki dziwny człowiek.

— Moja córko, mama musiałaby mieć blisko lat 300, gdyby go znała, bo Sebastyan Klonowicz umarł na początku XVII wieku.

— O, to tak dawno już, jak on żył; to też i wujaszek, żeby takie stare książki czytać.

— To ty, mój Stefciu, chciałbyś zawsze czytać tylko nowe książki?

— Ja tam dobrze nie wiem, mamuniu, jakie to, czy stare czy nowe; ale takie o których wszyscy wiedzą i znają, rozmawiają ciągle, tak jak teraz mama i ojciec; a jak przyjadą panowie i panie, to wszyscy opowiadają co w jakiej gazecie czytali; potem panowie troszkę się sprzeczcają, a jak ojciec mówi, dysputują o tém, co przeczytali; ale czytać takie książki napisane przed trzystu laty? to ja nie wiem po co?

— A zapomniałeś, jak to ty lubisz słuchać historyi, jak nam tatko każe czytać głośno albo opowiada, przecież to dawniej niż przed trzystu laty, a dla tego takie ciekawe.

— Toś mi też nowinę, moja Andziu, powiedziała! Historya, ja się przecież ucę historyi: o różnych ludach, albo o naszym narodzie, i wiem, że to jest bardzo piękna nauka. Ale takie małeństwo jak ty, co ono tam rozumie o nauce. Prawda, matuniu?

— Wcale nieprawda, mój synu, bo Andzia doskonale ci powiada, że jeżeli z ciekawością słuchasz opowiadania o dawnych dziejach, to dla czegożby wujaszek nie miał z przyjemnością czytać tego, co było pisane przed trzystu laty.

— Ale bo widzi matunia...

— Aha, widzisz, nie umiesz się wytłómaczyć.

— Ach, nie przerywaj mi, moja Andziu. Bo to widzi matunia, taki dziwny tytuł, to przecież nie historya; tam pewnie nie opowiadają o dawnych ludach, tylko chyba o tym Judaszu, co Pana Jezusa zdradził.

— Jakoś nie umiesz wybrnąć z tego, dla czego się dziwisz, że wujaszek chce czytać książkę napisaną przed trzystu laty. Naj-

pierw jednak muszę ci powiedzieć, że w Worku Judaszowym, wcale Klonowicz nie opowiada o zdradliwym uczniu Chrystusa Pana, lecz o ludziach, którzy stojąc na wysokim urzędzie, nie wypełniali swych obowiązków, biorąc niesprawiedliwie pieniądze i sądząc nieuczciwie, częstokroć bardzo uczciwe sprawy. Otóż autor w swęj książce opisuje takich złych ludzi i karci ich surowo, nazywając w ogóle workiem Judaszowym, do którego, tak jak Judasz za sprzedanie Chrystusa, wrzucali źle nabyte pieniądze.

— A za którego to króla żył ten Klonowicz, proszę mamy?

— Sebastyan Klonowicz, mój synu, żył w drugieć połowie XVI wieku i w początku XVII, żył więc za panowania Stefana Batoro i Zygmunta III-go.

— To on, matuniu, żył współcześnie z Janem Kochanowskim, o którym czytaliśmy w *Wieczorach Rodzinych*.

— Nie można powiedzieć, moja córko, że Klonowicz żył razem z Kochanowskim, bo wtedy, kiedy Kochanowski jaśniał już całą sławą znakomitego poety, Klonowicz dopiero kształcił się na akademii krakowskieć. Kochanowski więc jest poetą XVI wieku, wśród najwyższego rozwoju piśmiennictwa naszego; Sebastyan Klonowicz zaś liczy się do końca XVI i początku XVII wieku i zaliczamy go do poetów polsko-łacińskich.

— Jakto, mamó, do poetów polsko-łacińskich? przecież ja czytałem, że Rej, a po nim Kochanowski, pisali po polsku i wprowadzili zamiłowanie do ojczystego języka, a ten znów zaczyna pisać po łacinie? to ja wcale tego Klonowicza nie lubię.

— Nim wydasz sąd na kogo, wysłuchaj pierwój jego sprawy, mój chłopcze; a może i tutaj nie potępisz ze wszystkiem nieszczęśliwego i tak ze wszech miar Klonowicza. Sebastyan był uczniem akademii krakowskieć, w któreć przeważnie język łaciński pannał, bo w tym języku we wszystkich akademiach nauki wykładano; a mimo, że sam był bardzo uczonym, nie miał żadnych stosunków z innymi uczonymi, a nawet w ogóle mało znał ludzi, pisał więc językiem, w jakim pobierał nauki, prócz tego, niewielu by-

ło takich, którzyby jak Jan z Czarnolesia miłowali ojczysty język i umieli go w piśmiennictwie utrzymać. Nie możemy więc Klonowicza bezwarunkowo za łacinę potępiać, bo i wielu innych, nie wstępując w ślady Kochanowskiego, pisało również po łacinie, uważając, że mowa ta, jako w ogóle znana w Europie, dojdzie dalej po za kraj i pracę ich rozślawi. Słowem, nie pojowali tego, że pracować i pisać dla swoich jest największą zasługą. Ztąd więc po Kochanowskim znowu przy końcu XVI i przez wiek XVII pisano po największej części po łacinie, co znowu język zepsuło i skaziło.

— A dla czego on, mamuniu, nie miał stosunków z innymi uczonymi, jeżeli sam był uczonym?

— Z owego Worka Judaszowego dojdziemy jak widzę do życiorysu Klonowicza, siadajmy więc na tój laweczce, a opowiem wam o nim. Sebastyan Klonowicz pochodził z rodziny mieszczańskieć, ojciec jego był wójtem we wsi Sulmierzyczach w Kaliskiem, gdzie urodził się Sebastyan 1551 r. Po ukończeniu akademii krakowskieć, młody Klonowicz sprawował urząd mieszczański w Lublinie, gdzie w końcu został burmistrzem. Zajęty sprawami miasta, odsunięty zupełnie od dworu królewskiego i wielkich panów, gdzie w owym czasie wszyscy uczeni ludzie się zbierali, zdaleka przypatrywał się szlachcie i panom, miał do nich nawet niechęć, dla tego, że usuwali się od mieszczan, miał także niechęć i do XX. Jezuitów, przypisując im, że do swoich szkół przyciągnęli uczniów akademii krakowskieć; i wszystkich razem w pismach swoich doskonale wysmiewał, wytykając błędy i nie zważając ani na wiek, ani na stanowisko. Dostało się tam i urzędnikom miejskim i za to był nielubiony. Sam zaś, sprawując urząd, postępował uczciwie, odrzucał wszelkie datki i przekupstwa, mówiąc, że mu jego chudoba, to jest majątek osobisty, wystarczy. I byłaby wystarczyła, ale miał bardzo złą i marnotrawną żonę, która tak cały majątek roztrwonila, że nieszczęśliwy Klonowicz w biedzie i nędzy umarł w szpitalu u XX. Jezuitów w Lublinie r. 1608.

— Ale, moja matuniu, to on bardzo był

pocziwy i odważny, jeżeli nie zwracał na to uwagi, że sobie ściągą nieprzyjaciół, tylko karciał wady i niesprawiedliwość, i wolał żyć w nędzy a iść prostą drogą.

— Zapewne, mój synu, że to był człowiek uczciwy i zący, a prócz tego wielkich zdolności i bardzo uczony. W pismach jego, nie tylko polskich ale i łacińskich, widzimy bardzo dużo nauki i zamiłowanie rzeczy narodowych; a jednak z powodu szorstkości charakteru, człowiek ten ze wszech miar godny uznania, nielubiony ogólnie, nie był zrozumiany przez współczesnych, a pisma, w których nieraz prawdziwa mieściła się nauka, z wiatrem uleciały i śmiało można powiedzieć, że dopiero w dzisiejszych czasach prawdziwie został ocenionym. Nie dziw się więc, że wujaszek chce czytać Worek Judaszowy, napisany przed 300 laty, bo w owym worku jest dużo rzeczy odnoszących się do ogólnego ustroju ówczesnego społeczeństwa i całej Rzeczypospolitej, oraz nauki na przyszłość.

— O nie, mameczko, już teraz się nie dziwię, a nawet poproszę tatki, to mi go da do przeczytania.

— O proszę, jaki mi dorosły kawaler z tego Stefcia! zaraz chciałby czytać to, co starsi panowie. Ja tam wcale nie jestem ciekawa tego Worka Judaszowego, bo nie lubię czytać o złych ludziach.

— Bo ty, to tylko lubisz bajki o lalkach i zaklętych królewnach.

— Wcale nie; lubię bajki, lubię i historią prawdziwą; ale nie lubię udawać dorosłej, bo zaraz mi się przypomina bajka o żabie.

— Andziu, Andziu, a to co? Oto, jak widzę, moje dzieci, strasznie lubicie się sprzeczać i robić sobie przymówki; a jednak i z życia Klonowicza macie doskonałą naukę, że człowiek nawet z największą nauką, przy szorstkim charakterze i uszczypliwych słówkach, nie zjedna sobie przyjaciół. Ile razy więc któremu z was przyjdzie chęć do przesładowania drugiego, niech sobie Klonowicza przypomni.

— Ja tego nie rozumiem, dla czego on był nielubiony; jeżeli to, co pisał, było prawdą, to dla czego się na niego gniewano?

— Mój kochany, a któż to lubi, żeby mu ciągle jego wady wytykano, chociażby on rzeczywiście poczuwał się sam do nich? wszakże i ty, jak się Andzia z ciebie rozśmiej, to zaraz się na nią obrażasz?

— Ale bo co jój do tego, czy ja udaję dorosłego, czy nie, zresztą, ja nie chcę, żeby takie maleństwo jak ona żartowało ze mnie; nie potrzebuję jój nauk.

— Aha, widzisz! sam wydałeś sąd doskonały. Tak, jak ty powiadasz: co jój do tego, tak w owym czasie, wszyscy, którym zbyt jawnie Klonowicz wyrzucał niesprawiedliwe postępowanie, mówili: co mu do tego. Jak ty powiadasz: nie chcę żeby takie maleństwo żartowało ze mnie, tak i w owym czasie ludzie, zajmujący wysokie stanowisko, mówili: nie potrzebujemy, żeby nam taki burmistrz lubelski dawał nauki, bo my zajmujemy wyższe od niego stanowisko.

— Ale kiedy jego nauki były dobre, a Andzia zkądżeżby mi mogła dać dobrą naukę?

— Przeciwnie, mój kochany, i Andzia częstokroć mogłaby ci dać bardzo dobrą naukę, bo cię kocha, jako starszego brata i musisz przyznać, że ma dobre serduszko.— I matka pocałowała dziewczynkę.— Ale że Andzia przy tém wszystkim lubi sobie pozartować i naśmiać się, nie zważając, czy ci tém przykrość sprawi, więc zaraz się na nią obrażasz.

— Ale bo, moja matuniu, nie mogę znieść, jak on udaje dorosłego, włoży tak ręce w kieszenie, albo dorwie się do papierosa, a potem!... już nawet nie powiem, co potem; tak jak to wczoraj, o, tatko nawet o tém nie wie.

— Otóż widzi mama, czy to ładnie z jój strony? ona to zaraz wszystkim rozpowie; a jednak mama, toby o tém przed nikim nie wspominała, bo jak co złego zrobię, to mi mama, tak oto nagada we cztery oczy, i ja już drugi raz staram się tego unikać.—To mówiąc Stefcio pocałował matkę w rękę.

— I znow, mój synu, wydałeś sąd zupełnie sprawiedliwy. I Andzia i ja obiedwie cię bardzo kochamy; ale Andzia przy wszystkich opowiada twoje psoty i dla tego jój

nie posłuchasz, choćby ci najzdrowszą dała radę. To samo działo się z Klonowiczem, ponieważ wyszydział wszystkich, i nie umiał w sposób gładki wypowiedzieć swych nauk, wcale ich niesłuchano; a nie tylko, że nie słuchano, ale nawet książki jego palono, jego zaś o mało nie wypędzono z kraju; a ci, co się nań oburzali, tak samo nie mieli racji gniewać się na niego, jak ty na Andzię; bo tak, jak Andzia, przez miłość siostry, chciałyby żebyś był bardzo dobrym chłopcem, tak on, przez miłość dla narodu, chciał, ażeby wszy-

chce innym ganić błędy, musi sam być bardzo dobrym; a wiedz o tém, moje dziecko, że pierwszym krokiem do doskonałości jest umiejętność znoszenia wad cudzych. Jeżeli zaś chcemy, żeby kto poszedł za naszą radą, powinniśmy tak radę tę wypowiedzieć, aby w niej nie było ni cienia złości, lecz znać było, że to co mówimy pochodzi z dobrego prawdziwie życzenia. To samo zastosować możemy i do takiego Klonowicza. Gdyby on mniej szorstko napadał na wszystkich, znakomite rzeczywiście jego pisma i



Wzór do rysunku.

scy, składający ten naród, byli zacnymi ludźmi, powtarzając im: że *cnota, to największe szlachectwo*.

— A widzisz, ty brzydki chłopcze—rzekła Andzia potrząsając główką z pewną fantazyą—masz mię słuchać; bo potem tak będziesz żałował, jak ci, co Klonowicza nie postuchali.

— Tylko znów nie myśl, moja córko, żebyś była wyrocznią, i żebyś przez to pochwalala twoją uszczypliwość, która nigdy nikogo daleko niezaprowadzi, a w dziewczynce jest brzydką wadą. Prócz tego, jeżeli kto

prawdy trafiłyby zapewne do serca współbraci i odniosły pożądany skutek; że zaś nie umiał sobie zjednać przyjaciół i trafić na właściwy ton, w którymby mógł z pożytkiem do nich przemówić, obruszył tylko na siebie, a za każdym pociągnięciem pióra nowych sobie ściągał wrogów, którzy znienawidziwszy go, odrzucali wszystko, co powiedział. Teraz więc dopiero należycie został oceniony, kiedy już przyszłość wykazała, że to, co on mówił, powinno być zapisane złotymi literami na domu każdego obywatela kraju. Zachęcał bowiem do łączenia się



Dąb i Dynia.

wszystkie warstwy społeczeństwa, a szlachtę, by przyłożyła rękę do pracy, mówiąc: „Prawdziwego szlachcica takie godła zdobią: Bogu

miły, ojczyzny chluba, cnoty towarzyskie łączy z nauką, co głowa pomyśli, to rękoma szczęśliwie wykona.“
(d. c. n.)

MOJA PIESZCZOTKA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Teresę-Jadwigę.

(*Dalszy ciąg*).

III.

Już całe dwa tygodnie upłynęło od wyjazdu kasztelana Zawistowskiego z domu; był to wieczór ciepły, pogodny, po czystem niebios sklepieniu kilka tylko pierzastych obłoczków się ścigało, zmieniając coraz kształty; od łąk kamienieckich dochodził ryk powracającego do obory bydła, klaskanie biczy i nawoływania pasterzy, od pół piosnki żniwiarzy, którzy ostatnie snopki związywali. Słońce powoli zapadało na wzgórzu, na którym wznosił się dwór; na drodze, wiodącej do mostu zwodzonego, słychać było turkot wozu, który wyładowany pszenicą ciągnął zwolna, leniwie. Przodem przed wozem na białym koniu jechała Irenka, jedną rączką głaskała rumaka, drugą ściągając wodze, a rumak zrywał się, chciałby był śpieszniej podążyć. Piękny to był koń, jak śnieg biały, z grzywą jedwabną, miękką, obwisłą, z okiem czarnym, pełnym ognia, gdy pienieł się i zrywał, to z oczu jego skry sypać się zdawały, a biała sierść się rumieniła, tak delikatną miał skórę. Był to ulubieniec Irenki, od zrebienia jej darowany, chlebem i cukrem niemal się wychował, pieściła się z nim kasztelanka, jak z dzieckiem i teraz oto co chwila rękę ku niemu wyciąga, by go pogłaskać, ale dziś nie uśmiecha się do niego, nie szebieioce mu do ucha, jak to dawniej bywało... Wielkie zmiany zaszły w dziewczęciu przez te dwa tygodnie; kto ją widział po raz pierwszy wówczas, gdy strojna, jasna, śmiejąca, tańczyła w dniu swych urodzin drabanta, tenby jej chyba dziś nie poznał; i twarzyćka jej jakoś inna i strój inny także. Na białym czole dziewczęcia osiadła zaduma, z szafirowych oczów smutek przebija, lica pobladły, nawet usteczka mniej ko-

ralowe... W warkoczach nie świecą maki, na piersiach nie błyszczą paciorki; kontusik ma na sobie ciemny, spódniczkę takąż... O! bo w sercu dziewczęcia nie wesoło. Dwa tygodnie minęło od wyjazdu ojca, a jeszcze żadnych pewnych wieści o nim nie miała, więc się troszczy, czy zdrow, czy nie ranny, czy nie smutny bardzo. Po nocach zrywa się niespokojna, widzi go w sennych marzeniach, w dzień tęskni za nim i wciąż o nim myśli, często leżki ukradkiem ociera. Wprawdzie wojewoda Pożarski, najbliższy ich sąsiad, którego syn poszedł na wyprawę, odwiedził je parę razy, lecz i od niego nie wiele się dowiedziano, tyle tylko powiedział kobietom, że pan Tarnowski pod Obertynem rozłożył się obozem. Lecz, czy już wojska stoczyły jaką potyczkę, jakie były siły wroga, jakie hetmana, o tem wszystkiem jeszcze nie umiał ich uwiadomić. Irenka chciała go zapytać, gdzie to ten Obertyn leży, czy w górach, czy na równinie, czy nad wodą, ale nie śmiała; teraz żalowała tego, byłaby mogła choć wyobrazić sobie obóz i otoczenie ojca.

Smutno, ciężko było dziewczęce na duszy; gdy z matką siedziała, to zmuszała się do uśmiechu, gdy ta na nią nie patrzyła, to mgła zadumy występowała na jej czole. I teraz oto pieściła białego, a myślała o ojcu i wyobrażała sobie, że może w tej chwili dziki Wołoch z szablą na niego naciera i drżała biedaczka o jego życie.

Lecz wóz wtoczył się właśnie na dziedziniec, trzeba było odegnąć marzenia, bo konie zatrzymały się przed stodołą. Jeden z parobczaków w jaskrawym kaftanie, żwawy, ciemnowłosy Janek, który tu już czekał, schwyił za widły i nadziawszy snopek, wrzucił go do stodoły. Irenka stanęła z koniem u wrót, by snopki leczyć; niebawem wóz wypróżniono, lecz potem nadjechał drugi, następnie trzeci, stodoła aż pod strych napełnioną została. Wtedy zamknięto ciężkie drzwi i uznojoni potem żniwiarze pociągnęli do dworu za panienką, która oddawszy konia pachotkowi, szła przodem. Zwykle ukończenie żniw obchodzono głośno w Kamionce tańcami i muzyką; cała wieś schodziła się na dziedziniec, kasztelan puszczal się w pierwszą parę z przodownicą,

za nim Irenka z najdzielniejszym z parobczaków, ale dziś dziewczeczka nie miała ochoty do tańców, do piosnek, więc poczęstowałszy każdego szklaneczką miodu, podziękowawszy uprzejmie gromadzie, kazala im rozdać jeszcze owoców, mięsiwa i prosiła, by u siebie się zabawili, poczem poszła matki poszukać. Od rana nie widziała jój dzisiaj, cały bowiem dzień w polu spędziła i była pewna, że ją zastanie w jadalni czekającą na nią z obiadem, ale nie było tam kasztelanowej, poszła więc dalej, do jej sypialni, gdzie już niechybnie spodziewała się, że ją zastanie. Jakoż w istocie kasztelanowa była w swój komnacie, lecz nie sama, obok jój krzesła stał stary Michał, puszkarz, ten sam, który przybycie na świat Irenki oznajmił wiosce wystrzałem z moździerza, i przepowiedział, że na bohatera wyrośnie. Oboje, tak kasztelanowa, jak puszkarz, mieli miny zafrasowane, spostrzegła to zaraz Irenka, jak tylko u progu sypialni stanęła. Matka siedziała w wysokim rzeźbionem krzesle, z rękoma splecionemi, z głową ku piersiom zwieszoną; stary Michał jedną ręką targał siwego węża, co zawsze czynił, gdy był skłopotany, drugą szarpał pętlę od czamary, na czole jego setki zmarszczek się zebrały.

Jak błyskawica myśl o ojcu, że jemu się coś stać musiało, przebiegła przez główkę Irenki, przypadła do matki, przyklękła u nóg jój.

— Mateńko—rzekła, chwytając obie jój ręce i do ust ciskając je razem—wam coś jest, wysście jakąś złą nowinę otrzymali.

Kasztelanowa spojrziała zakłopotana na dziewczę, a nie wiedząc, coby odpowiedzieć, schyliła się do niej z pocałunkiem. Stary Michał targnął węża jeszcze niecierpliwiej.

— O, nie ukrywajcie prawdy przedemną—błagała Irenka—powiedźcie wszystko, on ranny, czy tak, może niebezpiecznie...

— Kto taki?—spytała z widocznem zdumieniem kasztelanowa.

— Ojciec—odparło dziewczę—tulać główkę na piersiach matki, by ukryć łzy, co polały się z jój oczów.

— Ależ ja o ojcu nic nie wiem, pan wojewoda przysłał kartkę rano, że wojska potyczkę pomyslną stoczyły, że naszych zabi-

tych bardzo niewielu, o ojca spokojną jestem. Niezadługo coś więcej wiedzieć będziemy, wojewoda pojechał po świeże wieści do Krakowa.

Irenka odetchnęła lżej, podniosła główkę, otarła oczy.

— Prawdę mówicie?—zapytała.

— Prawdę zupełną, Bogiem się świadczę.

— Więc czego smutną jesteś, matuniu, czego Michał marszczy czoło, coś kryjecie przedemną; powiedźcie, bo o ojca troszczyć się będę.

Kasztelanowa i stary puszkarz zamienili ze sobą spojrzenia, jakby naradzali się, narazicie ona zwróciła się do córki.

— Czy już pszenica wszystka zwicziona?—zapytała.

— Zwicziona—odparła Irenka—ale dla czego omijasz, mateczko, odpowiedź.

— Nie omijam, chcę ci właśnie powiedzieć, czegom skłopotana: Dobrze żeś skończyła ze żniwami, bo od dziś krokiem za dziedziniec nie pozwolę ci się ruszyć.

Irenka spojrziała zdumiona.

— Dlaczego?

Kasztelanowa znowu pytająco spojrziała na puszkarza, potem rzekła:

— Bo ludzie mówią, chociaż to może nieprawda, że w lasach sąsiednich zbójcy się kryją.

Irenka porwała się z kolan.

— Zbójcy, co za jedni, może banda Kafunka przeszła do nas?

Pani Zawistowska wstrząsnęła głową i ręce spłotła znowuż, Irenka pochyliła się do niej z pocałunkiem.

— Et, nie frasujcie się, matuchno—rzekła—zboże wszystko zwiezione, zamknijemy mosty i bramy, nie dostaną się do nas; a przytém przecież jeszcze ich u nas niema, dopiero w sąsiednim lesie, da Bóg, iż dalej sobie pójdą.

Kasztelanowa westchnęła ciężko.

— Oby tak było.

— Będzie tak, ino się nie frasujcie... Pomodlimy się dziś wieczorem szczerze, zmówimy litanią do Najświętszej Panny i drugą do Opatrzności, a teraz nie myśl już o Kafunku, mateczko, lepiej o Ireńce, która głodna jest strasznie, nie masz tam dać mi co zjeść?

Na taki zwrot rozmowy kasztelanowa mimowoli uśmiechnęła się i powstała z krzesła.

— Każcie pozamykać obie bramy, Michale, i stróżowi zapowiedzcie, aby pilnie czuwał w nocy, a psy wszystkie z łańcuchów pospuszczać—rzekła i wyszła z izby, Irenkę za sobą wołając. Ale dziewczeczka zatrzymała się jeszcze w komnacie, a gdy matka za drzwiami znikła, przysunęła się do starego puszkarza i podniosła na palcach.

— Nigdy takich wieści jój nie przynosiście—szepnęła, wzrokiem biegnąc za matką—przyrzekłam ojcu, że nad nią czuwać będę, to moja rzecz wiedzieć o takich sprawach.

Stary zakłopotał się widocznie, szarpnął wąsa, ale nic nie odpowiedział; z miny wszakże widać było, iż mu jakos nie bardzo te słowa trafiły do przekonania. Wtem z drugiej izby ozwał się głos kasztelanowej:

— Irenko!

— O dziesiątej wieczorem przyjdźcie do dworu i czekajcie mnie pod gankiem—rzuciła jeszcze do ucha staremu pieczętotka i skoczyła do matki.

Kasztelanowa czekała w jadalni przed stołem, nakrytym białym obrusem, gdzie stał talerz pełen wysmienitego barszczu z wendzonką i krupami. Irenka głodna była w istocie, więc zjadła ze smakiem, a gdy się posiliła, zdała matce sprawozdanie z całego dnia, powiedziała, ile zwieźli kóp pszenicy, ile żyta. Na takiej gawędce godzina szybko upłynęła, zmrok izbę zaległ i kasztelanowa podniosła się, mówiąc, że czas o spoczynku pomyśleć. Irenka podała jój ramię, poszły razem do sypialni: tu obok łóżka stał klecznik hebanowy z aksamitną poduszką zieloną, nad nim wysoko na ścianie wisiał krucyfiks czarny z Chrystusem z kości słoniowej, a pod Chrystusem obraz Matki Bolejącej, na blasze malowany. Siedm mieczów tkwiło w sercu nieszczęsnej matki, której boski syn zginął za to, że ludzkość ukochał. Przed tym obrazem klękły obie, matka z córką i najprzód litanią do Opatrzności zmówiły, potem do Najświętszej Panny, następnie wieczorne modlitwy odprawiły. Przeżegna-

wszy się pobożnie, Irenka pochyliła się z pocałunkiem do matki, by jój dobranoc powiedzieć. Miała swoją własną sypialnię, obok izby czeladniej, niewielki pokoik, gdzie pełno było kwiatków w naczyniach, mieszkała jakby w ogródku. Kasztelanowa przytuliła głowę córki do piersi, Irenka objęła ją rękoma i długi uścisk je złączył. Wreszcie wyrwała się z tych pieśczęt dziewczyna, pocałowała matkę w czoło:

— A śpij spokojnie, matusiu—rzekła głosem poważnym—Bóg czuwać nad nami będzie.

Uśmiechnęła się z tego macierzyńskiego pocałunku kasztelanowa, jeszcze raz uściśnęła jedynaczkę i rozstały się nareszcie.

Wybiegłszy z sypialni, Irenka, zamiast do swojej izdebki, do sieni się skierowała, cicho, ostrożnie odsunęła rygle, gdyż służba już drzwi zamknęła i wysunęła się przed dom.

— Michale—szepnęła, wychylając głowę poza słupy, wspierające ganek—Michale, jesteście?

— Jestem—odpowiedział jój głos znany, i stary puszkarz wysunął się z poza krzewów dzikiego bzu, rosnących tuż przy ganku.

— Tu niema co żartować—rzekła Irenka, dając znak staremu, by zbliżył się do niej.—Nasłuchałam się ja nieraz od sąsiadów, którzy ojcu opowiadali o tym Kafunku; to straszny człowiek, on już nie jedną wioskę podobno spalił, nie jeden dwór złupił; z Niemiec przybył do nas i okropne spustoszenia rozpościera; gdyby choć pan Pożarski nie był wyjechał...

— Łotr Szwab—mruknął Michał—nie może to on swoich panów odzierać, po co mu do nas leżeć było.

— Po co, o to teraz nie ma co pytać, trzeba radzić, żeby niegodziwca do nas nie dopuścić.

(d. c. n.)

PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

Zwykła cena dorodnego niewolnika wynosi ośmdziesiąt *pannos*, około ośmdziesięciu franków. Ale *panno* nie jest wcale monetą, tylko miarą długości, równą mniej więcej trzydziestu calom, nie pieniądźmi więc, tylko płótnem, lub bawełnianą tkaniną płaci się za niewolnika, odmierzając za każdego ośmdziesiąt miar. Często jednak kupujący i innym towarem należność wypłaca, licząc naprzykład za dziesięć *pannos* jedną fuzyą, pewną ilość prochu, lub barylkę gorzałki. Oprócz tego sprzedający otrzymuje w dodatku od kupującego trochę nici i igieł, a pośrednik, który w kupnie dopomagał, dostaje czerwoną wełnianą czapkę. I inne przedmioty, jakoto: kawałki ołowiu, noże, paciorki i ozdoby szklane, różne ubiory, służą do wymiany przy nabywaniu niewolników, ale zawsze cena najbardziej upowszechniona oblicza się na owe *pannos* i płaci tkaniną, najczęściej bawełnianą, błękitną lub żółtą, gładką albo też w paski i kraty różnobarwne. Materiał ten wyrabia się umyślnie dla murzynów w fabrykach angielskich, długość wymierza się za pomocą sznura, który łokieć zastępuje. Targi odbywają się w sposób następujący. Nabywca rozpoczyna od poczęstunku i często przez kilka godzin z rzędu poi handlarza niewolników, nim się zacznie o cenę umawiać. Po skończonej umowie, pijatyka na nowo się rozpoczyna, a gdy przychodzi do wyliczenia zapłaty, sprzedający handlarz jest już zazwyczaj zupełnie nieprzytomny i nabywca oszukuje go niemiłosiernie. Ten ostatni po skończonym targu nie ma jednak prawa dotknąć kupionego niewolnika, póki dawny właściciel nie rozwiąże krępujących go sznurów i nie odda sam w ręce nowego pana. I to chrześcijanie, ludzie nibyto cywilizowani prowadzą taki stra-

szny handel! serce się ściska na tę myśl samą. Obliczają na sześć tysięcy ilość niewolników przyprowadzanych co rok na targ w Bihe. Mulaci, stale tam zamieszkali, zakupują całe gromady tych nieszczęśliwych i odsyłają pod dobrą strażą do małych portów, gdzie ich na okręty zabierają. Zdarzało się jednak nieraz, że niewolnicy buntowali się po drodze, a powiązawszy lub nawet pomordowawszy swoich dozorców, odzyskiwali swobodę i powracali do ojczyzny.

Dom handlowy Rontonaków miał na tych wszystkich targach ludzi zaufanych, którzy mu najlepszy towar dostarczali. Co rok gromady niewolników przybywały do małych, ukrytych przystani, zkąd je zabierały okręty, i przewoziły do Brazylii. Przystań, w której Osa zarzuciła kotwicę, zwana była przez Portugalczyków, zamieszkałych w Bengueli, zatoką del Rios das Mortas, to jest zatoką rzeki umarłych; ujście tej rzeki było ztąd niedaleko.

Nazajutrz po przybyciu Osy do tej tajemniczej przystani, przeraźliwe, dzikie dźwięki przebudziły osadę okrętu przed wschodem słońca. Król Gobi, który tu już od dni kilku obozował, przyprowadziwszy z sobą kilkuset niewolników dla serdecznych swoich europejskich przyjaciół, dowiedziawszy się o ich przybyciu, wysłał nadworną swoją kapełę, aby ich powitała.

W jednej chwili wszyscy byli na nogach, a brzask poranny oświetlił niezwykle widok. Na brzegu, naprzeciw okrętu, siedziało w kuczki kilkudziesięciu murzynów; jedni bili z całej siły w bębny, zrobione z wielkich tykiew wypróznionych i naciągniętych z wierzchu małpiemi skórami, drudzy dmuchali co tchu w trąbki bambusowe. Wkrótce ukazał się i sam król Gobi, otoczony całym swoim dworem; były tam i żony jego i szambelani, i ze stu żołnierzy uzbrojonych w liche strzelby, wreszcie kilku kapłanów, a raczej czarowników. Żony królewskie trzymały w rękach wachlarze z piór, któremi powiewały na dostojnego małżonka. Obowiązkiem szambelanów jest usługiwać królowi przy ubieraniu, utrzymywać jego garderobę, podawać mu fajkę i mieć w pogotowiu butelkę z ulubionym napojem, to jest wódeczką. Powinni

także śmiać się do rozpuku, jeśli król jest wesół, a spuszczać nosy na kwintę, gdy jest w złym humorze.

W największych łaskach u króla Gobi był jeden z szambelanów, ten, który fajkę za nim nosił. Wysoki ten urzędnik nie odstępował nigdy monarchy ani na krok, zawsze też zjadał resztki potraw ze stołu jego, wyłączał co zostało w butelce, donaszał stare mundury swego pana, i rozdawał w imieniu jego wielki order sardynek. Król Gobi, będąc raz w mieście San Paolo de Leanda, widział wojskowych europejskich przystrojonych w orderzy, a dowiedziawszy się, jakie znaczenie ma ta ozdoba, postanowił wprowadzić podobny zwyczaj w swoim kraju. Sardynki w pudełkach blaszanych w ogromnej ilości przywożone są na targi afrykańskie przez europejskich kupców, gdyż murzyni lubią niezmiernie ten przysmak. Król wydał rozkaz, aby wszyscy poddani po spożyciu sardynek oddawali mu podługowate żółte blaszki, zdobiące pudełka i przeznaczył je na orderzy, a że lubił ślepe posłuszeństwo, więc skazał zawczasu na niewolę każdego, kto się odważył zjeść sardynki, nie odesławszy natychmiast blaszki. Tym sposobem powiększał liczbę niewolników, których sprzedawał przyjaciółom Europejczykom i skarbiec królewski bogacił.

Najuciążliwsze były obowiązki szambelanów, utrzymujących szaty monarsze. Król Gobi posiadał z pięćdziesiąt kufrow, które woził z sobą wszędzie; były to po większej części dary składane przez posłów różnych europejskich mocarstw, stroje te pochodziły także od kupców i bywały często zamianą za niewolników. Król wdziawał stosownie do uroczystości, to strój szwajcara katedralnego, to mundur strażaka, to znów frak galonowany lokaja, a czasem i stary mundur generalski. Wszystko to musiało być przechowywane z jak największą starannością, a jeśli broń Boże odpadł jaki guzik błyszczący, nieszczęśliwy szambelan, za uszkodzony mundur, natychmiast degradowany był na niewolnika i często wymieniany niezwłocznie za jakiś inny świeższy strój.

Król Gobi był w swoim rodzaju dzielny i walecznym wójwnikiem; ponieważ lubił

błyskotki i mocne trunki, a jedno i drugie mógł dostać u kupców europejskich, dostarczając im niewolników, więc kilka razy do roku urządzał wyprawy wojenne na sąsiedów, napadał, łupił, uprowadzał jenców i tym sposobem prowadził korzystny handel. W braku jenców wojennych sprzedawał swoich poddanych, których uważał za swoją prawowitą własność, tak zupełnie jak trzody bydła i owiec.

Król Gobi bywał niekiedy pełen łaskawości dla swoich dworzan; najgorsza z nim była sprawa, gdy wychylił kilka butelek, a na nieszczęście zdarzało mu się to dość często. Wtenczas królowe uciekały zwykle do pobliskiego lasu, aż póki im znać nie dano, że monarcha spać się położył. Gdy usnął snem sprawiedliwego, cały dwór pilnował już tylko, aby nikt tego błędnego spoczynku nie przerwał, a po przebudzeniu król odzyskiwał zazwyczaj złoty humor.

Gdy kapitan Noel spostrzegł zdaleka zbliżającego się sprzymierzeńca i przyjaciela, kazał na cześć jego dać ognia z kilkunastu strzelb i pistoletów, potem wysiadł na brzeg, niosąc w ręku dwie butelki królewskiego nektaru. Dwór tymczasem uszykował się na brzegu. Dwaj czarownicy obejrzeni najpierw starannie wzgórek, na którym jego królewska mość zasiąść miała, odmówili pewne zaklęcia, dla odpędzenia psotnych duchów, starszy czarownik splunął, położył wreszcie na wzgórkę skórę krokodyla i dostojny monarcha mógł zasiąść bezpiecznie. Królowe, księżęta i księżniczki, szambelani i inni dostojnicy dworscy, zasiadli dokoła, wojsko stanęło pod bronią, kapitan Noel zbliżył się trzymając w każdej ręce butelkę.

— Ileż masz dla mnie niewolników? — zapytał bez ceremonii.

— Czterystu pięćdziesięciu męzczyzn, dwieście dwadzieścia kobiet i sześćdziesięcioro dzieci.

— Po czemu chcesz od sztuki?

— Po sto trzydzieści pannaos, sztuka w sztukę.

— Słuchaj, Gobi — rzekł Noel, marszcząc brwi — ja nie mam czasu do stracenia. Jutro o zachodzie słońca cały ładunek musi być na okręcie, bo trzeba korzystać z wieczornego

powiewu, aby jaknajspieszniej odpłynąć. Zostawże te wszystkie żarty i dobijaj targu odrazu, bo jeżeli się nie zgodzimy, podnoszę kotwicę i jadę prosto do króla Owampo.

— No, to dobrze—zawołał Gobi przestraszony—zapłacisz zwyczajną cenę, po dziewięćdziesiąt pięć pannos.

— Nie, będzie z ciebie po dziewięćdziesiąt.

— Ja ich z tak daleka przyprowadziłem; byłem dwadzieścia kilka dni w drodze.

— Masz ostatnie moje słowo; nie dostaniesz ani o jedną szmatkę więcej.

— Wezmę już wreszcie po dziewięćdziesiąt pannos—rzekł król z rezygnacją, ale dasz przynajmniej sto miar rumu dla moich żon i dwadzieścia pięć miar dla kapłanów wielkiego bożka Maramba.

— Niech i tak będzie, ale nie żądaj już nic więcej.

— Nie, już po wszystkim, możemy wypić na zgodę.

Na te słowa kapitan Noel odkorkował butelkę, nadpił z niej odrobinę i wręczył królowi. Ten pochwycił ją skwapliwie, przytknął do ust i z upodobaniem popijał, póki nie wypróżnił butelki aż do dna; wówczas rzucił ją na murawę i zabrano się niezwłocznie do załatwienia interesów.

(d. c. n.)

Łamigłówka zgłoskowa. (M. K.)

Z 19 zgłosek: bra—ca—ce—co—gi—i—ja—ka—krak—o—o—ran—ri—rzec—sa—stry—wi—u—za—zar— ułożyć 10 wyrazów: 1) Miara. 2) Dzieło sztuki. 3) Rzeka wpadająca do Dniestru. 4) Imię historyczne. 5) Kraj w Azji. 6) Kanton w Szwajcaryi. 7) Ważny organ ciała ludzkiego. 8) Zwierz leśny. 9) Ptak. 10) Gatunek mięczaków. Pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwiska dwóch wodzów polskich.

Łamigłówka w kwadraciku. (R. A. K.)

| | | |
|---|---|---|
| a | | a |
| | a | |
| a | | a |

Zapełnić cztery przedziałki próżne literami, aby utworzyć trzy odmienne wyrazy.

Łamigłówka liczbowa. (G. N.)

Z 9 liter 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, składa się pseudonim poety polskiego; przedstawiając litery, otrzymamy:

1, 3, 4, 5, 9, ptak, *szoka*

7, 9, 3, 4, 5, 6, kraj i miasto w Afryce, *ma*

3, 4, 5, miara czasu, *rok*

5, 6, 3, 9, część drzewa, *korę*

3, 4, 8, 9, rodzaj ziemi, *rola*

3, 4, 7, 9, stolica starożytna, *Roma*

5, 6, 3, 9, 8, produkt morski, *korale*

5, 6, 1, ptak, *Ros*

1, 5, 6, 1, 9, narzędzie rolnicze, *Rosa*

5, 3, 2, 7, półwysep w Europie.

Rozwiązania do Nru 19.

Zadania konikowego:

- Henrysiu, na ci piernik rzekł przyjaciel domu
Ale zjedz go gdzie w kącie i nie daj nikomu.
- Ej, pan chyba żartuje—odpowie Henryczek
- Mam zjeść sam, to dziękuję, schowaj pan pierniczek.

St. Jachowicz.

Serce

Łamigłówki w kwadraciku.

| | | |
|---|---|---|
| K | O | T |
| O | K | O |
| T | O | R |

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni P. w Włoczewie. Arkusz powieści wysłaliśmy pod wskazanym adresem do Płocka. *Famiłne chwile* pisane są przez Teresę Jadwigę Papi. Z komedyyek zamieszczonych w naszym Piemku w r. b., pierwsza rzeczywistość była stosowniejsza dla młodszych dzieci, ale w drugiej, pod tyt: *Wujaszek z za morza* występują panienki dorosłe i role ich byłyby nawet niewłaściwe dla małych dziewczynek. Dziękujemy bardzo za liścik ładną i staranną kaligrafią pisany, w którym tyle jest uprzejmych dla nas wyrazów.

Władysiovi N. Wszystkie nadesłane zagadki są dobre i będą drukowane. Upodobanie do historycznych przedmiotów jest bardzo chwalebne i będziemy się starali dostarczać ich coraz więcej młodym czytelnikom.

Zosi T. W dacie śmierci Mickiewicza jest w rzeczy samej pomyłka druku, gdyż wielki nasz poeta umarł nie w 1859, ale w r. 1855 w Konstantynopolu. Za sprostowanie bardzo dziękujemy. Trudno jest niezmiernie uchronić się od podobnych błędów drukarskich, zwłaszcza w cyfrach. Nie mamy już wcale luźnych arkuszy historyi biblijnej i takowe mogą być tylko razem z numerami Pisma nabywane w Redakcyi, po 10 kop.

Pani Helenie L. w Krakowie. Z przedpłaty, złożonej przez panią w redakcyi, pozostaje na przyszły kwartał 20 kop. gdyż roczna prenumerata wynosi 5 rs. i kop. 10.

Bronci M. w Sosnowicach. Rozwiązanie łamigłówki trafne i porządnie napisane, ale dawniej odbieraliśmy dłuższé liściki.

Fransiovi B. Łamigłówkę zamieścimy troszeczkę później.

Na pomnik Mickiewicza Karolcia P. ofiarowała rs. 1.

T. Papi. (Teresa-Jadwiga)

zawiadamia szanowną Publiczność, iż przyjmuje PANNIENKI, które chcą pobierać nauki w Warszawie; daje im opiekę troskliwą i zapewnia rozmowę w obcych językach. Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 16.

OGŁOSZENIE.

Dla prenumeratorów *Wieczorów Rodzinnych* są do nabycia w redakcyi następujące dzieła:

Album Willanowa, przepyszne wydanie, z opisem *Skimborowicza* i *Gerzona* rs. 6 k. —

Królowie Polscy, dla młodzieży w ozdobnej oprawie. Poczet złożony z 43 portretów podług rysunku *T. Malesszewskiego* rs. 2 k. 50.

Wydawnictwa *Wł. Nowickiego*:

Szlachetna zabawa Ser. I. — k. 60.

„ „ Ser. II. — „ 65.

Początki języka . . . — „ 40.

Jak uczyć początków języka — „ 20.

Podwieczorki u Jadzi, przez *Jaskółkę* rs. 1 k. —

Pogadanki naukowe, przez *M. J. Zaleską* . . . — „ 30.

Wakacye Janka i Zosi . — „ 75.

Trześć.—Przechadzki z cicią, przez M. J. Z — Dąb i Dynia, bajka Ignacego Krasickiego, (z drzeworytem).—Worek Judaszowy, przez Z. Morawską — Wzór do rysunku, (drzeworyt).—Moja pieszczołka, (powieść historyczna), przez Teresę-Jadwigę, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku Tajemnica Starego Dworu, (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2 $\frac{1}{2}$. *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 2 $\frac{1}{2}$, w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr.

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to-Krzyzka Nr. 14.

Дозволено Ценаурою. Варшава, 9 Мая 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke**.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.